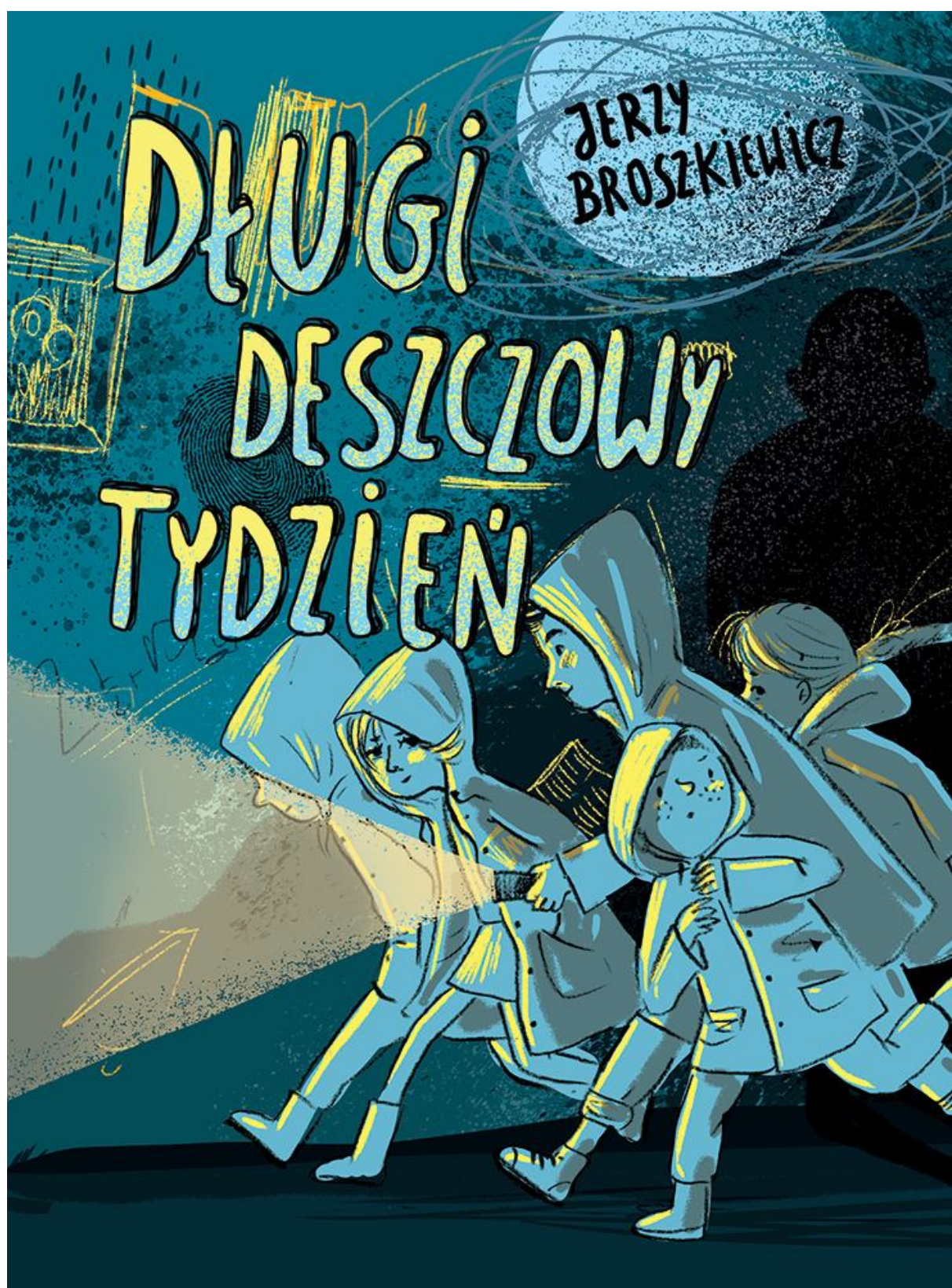




Jerzy Broszkiewicz

DŁUGI DESZCZOWY TYDZIEŃ

Wydawnictwo Estymator
Warszawa 2020

Copyright © Estymator Jacek Chołoniewski 2020

Okładka: Katarzyna Kołodziej

ISBN: 978-83-66719-16-3

Spis treści

<u>I. Poniedziałkowy deszcz</u>	(4)
II. We wtorek mgła	(18)
III. Środowa mżawka	(32)
IV. Czwartkowe burze	(32)
V. Piątkowe ulewy	(62)
VI. Sobotnie „dzikie baby”	(93)
VII. W niedzielę słońce	(124)

I. Poniedziałkowy deszcz

— Skąd to się wzięło? — powiedziała Ika.

— O szóstej było jeszcze słońce — powiedział Groszek.

— Może siądziemy i będziemy płakać? — chciał spytać z uprzejmą pogardą Włodek, ale mu nie wyszło, bo świeżo wymutowany bas zawiódł i „kać” w słowie „płakać” zaskrzypiało jak pianie wylękłego kogutka.

W związku z tym Włodek poczerwieniał, odchrząknął i cofnął się z werandy do cichego wnętrza domu.

— Nie macie się co śmiać — powiedziała Katarzyna, zwana też „Albertem”. — Mutacja to jest mutacja. Każdy mężczyzna musi to przejść.

— Ja już to przeszedłem — zagrzmiało basem z wnętrza domu. — Dawno! Widocznie zaczyna mi się bronchit.

Potem trzasnęły drzwi.

— Znowu się na mnie obraził — szepnęła Katarzyna, zwana też Albertem.

— Dobrze ci tak, drogi Albercie — stwierdziła Ika, a w głosie jej nie było litości. — Żaden mężczyzna nie znosi adwokatów. Szczególnie damskich. I szczególnie wtedy, kiedy już chce być, a jeszcze nie jest mężczyzną.

— Przepraszam — powiedział Groszek, który podobnie jak Włodek ukończył już lat czternaście. — Czternaście lat to jest czternaście lat.

— Trzeba jeszcze rzecz przemyśleć — zaśmiała się z najgorszą intencją Ika. — Problem istotnie poważny. Czternaście to jest czternaście, podobnie jak latająca ryba to nie ptak, a muł to nie osioł. Mutacja zaś to jest mutacja i każdy mężczyzna musi ją przejść. Zależy tylko, w którą stronę.

— Hi, hi — oświadczył Janek, zwany też „Paculką”.

— Przestańcie się kłócić — powiedziała Katarzyna. — Wystarczy, że pada deszcz.

— Właśnie dlatego się kłócimy — wyjaśnił Groszek. — Zmiany atmosferyczne wywierają zły wpływ na system nerwowy. Także u dzieci.

— O jakich d z i e c i a c h mówisz? — spytała z bardzo niebezpiecznym uśmiechem Ika.

— O sobie — odpowiedział Groszek i na drewnianej werandzie nastąpiło milczenie.

A deszcz rzeczywiście padał, wzdłuż okapów zbiegały się popielate strugi, rynna dudniła, po trawie otaczającej dom łąki szedł szemrzący szelest i, co gorsza, wszystko to weszło w jednostajny rytm, który świadczył, że minęła już pierwsza rześista fala i że deszcz się zadomowił w pięknej, lesistej, nadrzecznej dolinie — choć o szóstej rano było jeszcze słońce.

— Ale rzeczywiście: skąd się to wzięło? — spytał w końcu Włodek, który znów stanął na progu werandy.

Janek zwany też Paculką westchnął, odłożył drewniany klocek oraz nóż, dzięki któremu z drewnianego klocka zaczęły się wyłaniać dziób i łeb starego pelikana — i powoli poczłapał w głąb domu. Wrócił po minucie z gazetą i położył ją na stole.

— O — powiedział.

I znów zajął się łbem drewnianego pelikana. Groszek pokiwał głową nad gazetą.

— No tak — mruknął i czytał dalej głośno. — Nad Polskę południową napływa z południowego zachodu zatoka niżowa, niosąca wilgotne powietrze, które...

Odłożył gazetę.

— Trzydniówka? — spytał ostrożnym basem Włodek. Groszek wzruszył ramionami.

— Trzeba to jeszcze przemyśleć — szepnął do siebie.

Ice nawet nie chciało się już kłócić ani wyśmiewać żadnych przemyśleń. Przymknęła oczy z rezygnacją, usiadła na wilgotnej ławie. Potem zaś naszło ją coś w rodzaju jasnowidzenia, bo ziewnęła i powiedziała nudnym głosem trzy ważne słowa:

— Długi deszczowy tydzień.

— O — przytaknął Pacułka i otworzył oko pelikana.

A był to poniedziałek, pierwszy wakacyjny lipcowy poniedziałek, godzina dziewiąta dwanaście rano i dokładnie, jak obliczyła zwana Albertem Katarzyna, dziewięćdziesiąta siódma minuta deszczu.

„Na razie deszcz jest tak młody — pomyślał Pacułka — że liczy mu się wiek na minuty. Potem się postarzeje i zaczniemy go liczyć na godziny, dni albo i na doby.

Przynajmniej to jest dobrze, że nie będą cię włóczyć po spacerach” — myślał dalej wytrzeszczając oko pelikana — i nadzieja ta wywołała w nim nagły a niespodziewany przyływ wielomówności.

— A deszcz padał — rzekł wesoło — przez czterdzieści dni i czterdzieści nocy.

Wrażenie było piorunujące: Pacułka wypowiedział za jednym zamachem dziewięć prawdziwych słów! Katarzyna ledwo złapała oddech. Sam Włodek cofnął się o krok. Jedna Ika nie straciła przytomności :

— Ty nie bądź taki religiant, Pacuлко — powiedziała ostro.

— E — odpowiedział radosny Pacułka i poszedł sprawdzić, czy w spiżarni nie zostało ze śniadania jeszcze trochę miodu. Obrośnięty drzewem pelikanowy łeb został na stole i gapił się wytrzeszczonym okiem na zebrane wokół siebie milczące postaci, na góry, na dolinę, na las, pola i rzekę.

I — oczywiście — na deszcz.

* * *

Przez następną godzinę należało się zastanowić: co dalej? Jak wybrnąć z tego deszczu? A raczej: jak wybrnąć z tej zadeszczzonej sytuacji, w jakiej znalazło się pięć młodych osób w swym pierwszym wakacyjnym dniu?

Wczoraj jeszcze wszystko było „o key” — jak stwierdzał Włodek. Podróż w słońcu, pod otwartym dachem samochodu, podgóorskimi serpentynami.

Podróż ta odbyła się na dwie raty. W pierwszej turze ojciec Iki przywiózł żonę, córkę, Groszka i Pacułka. W turze drugiej matka Iki zawróciła po Włodka, Katarzynę i resztę bagaży, bo ojciec Iki zaraz po przyjeździe oświadczył, że on dla nich, a oni dla niego od tej chwili istnieć przestają, bo nie na wakacje tu przyjechał, tylko po to, żeby kończyć pracę habilitacyjną, i że jedyna rzecz, na którą go może będzie stać, to opowiadanie jednego dowcipu do każdego obiadu — z wyłączeniem śniadań i kolacji. Poza tym ogłasza się ciszę wokálną i radiową przynajmniej przez kilka pierwszych dni.

Żądanie ojca Iki zostało przyjęte przez aklamację — ale tylko dlatego, że niedzielny wieczór był czysty jak leśne źródło i można było przypuszczać, że następny dzień będzie równie rewelacyjny, „elear and wonderful” — wedle opinii Włodka.

Tymczasem — jak wiadomo — nazajutrz, w poniedziałek, o dziewiątej dwanaście, deszcz padał już dziewięćdziesiątą siódmą minutę, rynna dudniła, po łące szedł deszczowy szelest, a na domiar wszystkiego matka Iki zwołała do jadalni krótką naradę produkcyjną, prosząc na wstępie wszystkich o zajęcie miejsc.

Zajęli zatem miejsca w porządku następującym, licząc od lewej ku prawej:

1) Katarzyna, zwana też Albertem, córka wieloletniej przyjaciółki matki Iki, zaprzyjaźniona od trzech lat z samą Iką (wiek: 12 lat, wzrost: 152 cm, włosy: bardzo jasne, oczy: bardzo niebieskie, znaki szczególne: wybitny talent do zakochiwania się w wysokich szatynach oraz niezwykle wprost uzdolnienia w dziedzinach takich, jak fizyka, chemia,

elektrotechnika itp. — skąd właśnie przydomek Albert, pochodzący w prostej linii od imienia samego Alberta Einsteina).

2) Włodek, brat cioteczny i rówieśnik Groszka (wiek: 14 lat, wzrost: 174 cm, włosy: ciemne, oczy: piwne, znaki szczególne: poza urodą, wdziękiem i inteligencją — nie ukończona mutacja, zamiłowanie do posługiwania się angielszczyzną oraz pokrywające niejaka skłonność do bałwańskiego snobizmu zdecydowane poczucie wyższości nad resztą społeczeństwa).

3) Ika (wiek: 12 lat, wzrost: 151 cm, włosy: ciemne, oczy: zielone, znaki szczególne: różne, a między innymi bardzo długi warkocz i jeszcze dłuższy jęzor).

4) Groszek, syn przyjaciół domu i wieloletni kumpel Iki (wiek: 14 lat, wzrost: 163 cm, włosy: ciemne, oczy: niebieskie, znaki szczególne: skłonność do przemysłiwania różnych rzeczy oraz daremna walka z pewnym, nie całkiem jeszcze przemysłanym, uczuciem).

I na koniec:

5) Janek czy Jasio, czyli Jaś, zwany również nie wiadomo czemu — Pacułą, stryjeczny brat Groszka i najmłodszy z rodu (wiek: 9 lat, wzrost: 128 cm, włosy: prawie białe, oczy: prawie czarne, znaki szczególne: tysiąc i ileś tam piegów, absolutna niechęć do mówienia oraz talent rzeźbiarski połączony z takim zamiłowaniem do słodczy, że Pacułą nie psując sobie zresztą nigdy żołądka, okresowo rósł szybciej wszerz niż wzdłuż).

* * *

Zasiedli zatem wokół stołu w jadalni, a matka Iki, rozejrzawszy się uważnie po zwróconych ku niej pięciu twarzach, powiedziała:

— Obywatele i obywatelki! Wprawdzie deszcz pada, ale wakacje zostały rozpoczęte, i to przez wszystkich, czyli przeze mnie również. W związku z tym — mówiła dalej tonem nie znoszącym sprzeciwu — proszę uprzejmie o poszanowanie ustalonych od dawna zasad. Podział i kalendarz zajęć takich, jak gotowanie, sprzątanie, pranie, prasowanie i tym podobnie, jest wywieszony w kuchni. Jako zwolenniczka równouprawnienia młodzieży z dorosłymi nie będę pomagała chłopcom w gotowaniu, a dziewczętom w rąbaniu drzewa. Pigułki przeczyszczające i bandaże będą na powyższe okoliczności w pogotowiu. Z punktu widzenia prawa jesteście niepełnoletni, dlatego też pod duchową nieobecność mego małżonka przejmuję za was odpowiedzialność prawną. Ponieważ jednak z mojego punktu widzenia jesteście osobami mniej więcej myślącymi, całą resztę odpowiedzialności składam na wasze młodzieńcze barki. Nie będę: godzić skłóconych, pocieszać nieszczęśliwych, bawić znudzonych i tak dalej, i tak dalej. Przypominam: wasze wakacje są też moimi wakacjami i dlatego proszę łaskawie szanować nie tylko swoją młodość, ale i moją starość.

Tu matka Iki, osoba młoda, zgrabna i, wedle opinii Włodka, „very charming”, zakończyła swoje przemówienie uprzejmym uśmiechem.

— Kto przeciw? Nie widzę — dodała szybko. — Uważam, że moje wnioski społeczeństwo przyjęło jednogłośnie. Dziękuję zebrany.

I wyszła.

— Jak to się nazywa? — spytała Ika.

— To się nazywa demokracja kierowana — wyjaśnił Groszek.

— E — zwątpił Pacułą, zabierając się do chudej szyi pelikana.

— A tymczasem — jęknęła Katarzyna — nic się nie dzieje. Nic się nie działo, nie dzieje i dzieć się nie może. Chłopcy będą gotować obiady. Dziewczyny będą rąbać drzewo. Po powrocie do szkoły dostaniemy zadanie na temat: jak spędziłam wakacje? Odpowiem po pacułkowski, jednym zdaniem: eee...